Nr. 14. z dnia 12. kwietnia 1908 r.

CZATY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY I LITERACKI
ILUSTROWANY



REDAKCYA i ADMINISTRACYA
w Podgórzu (przy Krakowie)
ul. Krzemionki l. 18.

Prenumerata w Austryi
(z przesyłką pocztową)
całorocznie . . 8 Kor. — hal.
półrocznie . . 4 „ — „
ćwierćrocznie . 2 „ — „
Egzemplarz pojedynczy 16 halerzy.

Prenumerata za granicą rocznie 10 kor.

Wydawca i naczelny redaktor:
Maryan Horwáth.





W komisyi budżetowej głosowali posłowie nasi przeciwko podwyżce płac kolejarzy, gdyż pieniędzy potrzeba na poprawę materyalnej doli biednych... oficerów!!

Baczność przed wrogiem!

W bezpośredniem sąsiedztwie Stanisławowa, stanowiąc z nim niejako terytoryalną, nierozdzielną całość, rozłożyła się wieś Knihinin, opasując stary gród Rewery wokoło jakby pierścieniem. Knihinin dzieli się na dwie odrębne gminy polityczne, a to: Knihinin wieś i Knihinin kolonia. Knihinin wieś zamieszkuje ludność mieszana, polsko-ruska; w Knihininie kolonii prym wiodą zaś niemcy, osiedleni tam jeszcze za czasów Józefa II, i obdarowani podówczas ziemią przez wojewodzinę Kossakowską. Poczciwe niemiaszki zaaklimatyzowały się z biegiem czasu u nas na dobre, i czerpiąc pełną garścią ze skarbca polskiej, często gęsto zbyt przesadnej, gościnności; porośli w pierze, przeobrażając się pomału z chudych i wygłodzonych a gołych, jak święty turecki, przybyszów — w poważnych i zamożnych mieszczan. Sprawiedliwość przyznać każe, że nie okazywali się w przeszłości nigdy wrogami naszymi, lecz przeciwnie, wyrabiała się w ich sercach pomaluśku pewna spójnia uczuć z nami, pewna wdzięczność, i, aczkolwiek bardzo filigranowe i dość niejasno określone, jednakowoż zupełnie naturalne i zrozumiałe, poczucie przynależności do naszej ojczyzny. Z biegiem czasu zacierały się zbyt ostre początkowo różnice rasowe; z biegiem czasu poczęli oni łączyć się z nami węzłami pokrewieństwa, przez małżeństwa, tak iż w końcu li tylko zachowanie wyznania protestanckiego różniło ich od nas. Zachowali wprawdzie język swój rodzinny, jednakże posługiwali się nim bardzo rzadko, używając nawet w najściślejszem kółku rodzinnem przeważnie języka polskiego. Tak było do niedawna, tak było aż do chwili objęcia obowiązków pastora protestanckiego w Knihininie przez pana Zoeklera. Pan ten, zapomniawszy zupełnie o

nauce Chrystusa, propagującej miłość i zgodę, zainaugurował swą duszpasterską działalność sianiem nienawiści w sercach swych owieczek przeciwko wszystkiemu, co polskie, co nasze. Przewielebny „ksiądz“ (gdyż tak się pan Zoeckler tytułować każe) przypominający już swoim wyglądem zewnętrznym postacie rycerzy krzyżackich, złączył w sobie dwa przymioty, które działalność jego tem groźniejszą dla nas czynią. Obok wyrafinowanej, prawdziwie lisiej przebiegłości, — żelazna energia, tak zwana „na zimno“, nie licząca się z niczem, i gotowa bodaj nawet po trupach prowadzić powzięte zamiary do celu.

Pan Zoeckler postępuje konsekwentnie, drogą programowo wytkniętą, zdążając wytrwale do przygotowania terenu dla hohenzollernowskiej idei. Zapatrzony w Berlin, z bijącem w takt nuty „heil dir im Siegeskranz“ sercem, gniecie na swej drodze brutalną stopą prusacką wszystkie lepsze, uczciwsze uczucia w sercach swych owieczek, wiekową gościną na ziemi polskiej zrodzone. Gdzie tylko ten zajadły krzewiciel kultu hohenzollernowskiego stąpi, rwą się nici dawnej sympatyi między nami a kolonistami; w miejsce zgody wstaje waśń, wkraczająca nawet w zacisze domowe, w ogniska rodzinne małżeństw mieszanych, powstałych z połączenia ślubnego kolonistów z polkami, lub odwrotnie.

Całkiem bez ogródek, otwarcie, jawnie, na podstawie zebranych przez nas faktów stwierdzić musimy, że ten „sługa Chrystusowy“ pracujący rzekomo (jak twierdzi) li tylko na niwie duchowej, jest zdeklarowanym i zaciekłym wrogiem polskości, tym groźniejszym dla nas, że posiłkowanym milionami marek pruskich, i osłoniętym powagą stanu duchownego.

Obecnie w chwili, gdy pośród niemców galicyjskich poczyna się budzić duch nienawiści przeciwko nam, gdy pod rzekomym pretekstem narodowego zrzeszenia i obrony interesów narodowych, poczynają niemcy galicyjscy kuć broń przeciwko nam, na naszych własnych śmieciach, nie godzi się spoglądać obojętnem okiem na zakusy apostołów w guście pana Zocklera. Jedną z największych i najcięższych wad naszych była zbyt wielka pobłażliwość. Pobłażliwością, zrodzoną z lenistwa i donkiszoteryi, pozującej na rycerską wspaniałomyślność, skręciliśmy już niejeden bat na naszą własną skórę.

W najkrytyczniejszych chwilach naszego życia narodowego pocieszaliśmy się zawsze naszem sławnem „jakoś to będzie“; zamiast skupienia sił i energicznej a wytrwałej walki, liczyliśmy zawsze na jakąś cudowną pomoc, na interwencyę zagranicy, na sympatyę Watykanu, na modlitwę, na patryotyczne demonstracye z chorągiewkami, a bodaj czy nie nawet na... anielską odsiecz z nieba. Dokąd nas to zawiodło, i do jakiego stanu doprowadziło, widzimy obecnie sami najlepiej.

Przyjdźmyż już raz przecież do rozumu, i zacznijmy liczyć li tylko na własne siły, zechciejmy zrozumieć, że świat pomaga li tylko... silnym, a słabych darzy kopniakiem. Niebezpieczeństwo, które dziś wskazujemy, jest o wiele groźniejszem, niż wielu przypuszcza. Takich Zcecklerów jest w Galicyi bardzo wielu, a mają oni dwóch sojuszników: ruską ku nam nienawiść, i prusackie złoto.

Niebezpieczeństwo grozi nietylko Stanisławowi, lecz krajowi całemu, a niebezpieczeństwo to li tylko przez energiczną i świadomą celu kontrakcyę usunąć możemy.

Do sprawy powyższej wrócimy w najbliższym numerze.

„Ne war ne jok“.

(Góralska fantazya na temat galicyjskiej tureczczyzny).

Z początkiem XIII wieku, przybył w nieznane kraje pielgrzym nazwiskiem „Neumarkt“, i upodobawszy sobie dolinę nad brzegami Czarnego i Białego Dunajca, między Obidową, Czorsztynem a Tatrami, osiadł w niej. Dolina ta pokrytą była gęstymi borami, poprzerzynanymi polanami, na których pasły się trzody owiec. Na jednej dolinie pasły się owce, mające czerwoną wełnę, i od nich ochrził Neumarkt całą tę dolinę „na *czerwonem*“. Tu założył osadę, dając jej swe imię: „Neumarkt“. W dekrecie fundacyjnym zastrzegł sobie, aby pierwsza stacya kolejowa, którąby kiedykolwiek tu wybudowaną została, otrzymała nazwę „Neumarkt. W dalszym ciągu postanawiał dekret, iż tego czasu, kiedy w państwie jego zostanie zaprowadzona konstytucya, a w Austryi czteroprzemiotnikowe głosowanie do parlamentu w Windobonie, pierwszym czseroprzymiotnikowym posłem ma być „ein neumarkter Mann“, względnie praprawnuk Neumarkta po mieczu lub po kądzieli.

Pierwszymi mieszkańcami osady byli ludzie, którzy schronili się w tutejsze dziewicze lasy przed **sprawiedliwością** lub wyrzutami sumienia. Mając poddostatkiem zwierzyny, trudnili się łowami, chowem owiec i facyendą końmi, które sprzedawali przejeżdżającym zbrojnym drużynom. Z czasem handel końmi stał się ich zawodem, którym tylko najznakomitsi wśród osady zajmować się mogli. Pierwszy tedy koncessor (dziś „koński łujek“) stał się mężem poważanym, sołtysem, asesorem, wujtem, a w końcu szlachcicem. Posiadanie konia i facyenda końmi stały się wówszas ideałem, uszlachetniającym człowieka. Wszak już u rzymian tytułem szlachcica był wyraz: „eques“, a i niemiecka nazwa „ritter“ pochodzi od „reiten“ (jeździć konno). Nic zatem dziwnego, iż pierwsi szlachcice w osadzie Neumarkt, jak Cholowką, Smasa, Mateja, Jeromin, i w. i. dorobiło się majątku i szlachectwa facyendą końską. Ci szlachcice zawsze ukazywali się na koniu. Nawet pośród świętych dzisiejszych jest dwóch, których malują na koniu: św. Jerzy i św. Marcin. Pośród bogów pogańskich jeden tylko Apollo ukazywał się na wierzchowcu Pegazie, lub jeździł czwórką koni, zaprzężoną do swego rydwanu.

Osadnicy Neumarktu byli poganami. Wierzyli w Perkuna, Kielcyk, Dzika, Kozicę, Habrykę i rozmaite boginki i duchy. Pieczętowali się „wałachem“.

Neumarkt, zakładając osadę, kazał rokrocznie odkładać do sąsieka miarkę złota a gdy się w ten sposób zbierze milion centów, ówcześni ojcowie miasta mają wybudować wspaniałą świątynię Najwyższemu Bogu.

Mijały wieki, Neumarkt się powiększał, ludzi przybywało. Powstały sklepy, banki kołko rolnicze, urzędy, propinacye, a nawet lupanary, ale o budowie świątyni nikt nie myślał. Nie pito już wody zdrojowej, ale wino, — przestano jeść placki owsiane, a wzięto się do ciastek. Miast kwaśnicy pito czarną kawę, a bez „štuki“ najbiedniejszy się nie mógł obejść. Niewiasty stroiły się jak boginie, a zabawom, ucztom, kiermaszom i radośnikom nie było końca. Zbytek i rozpusta były jedynem zatrudnieniem Neumarkta.

W r. 1907 pokazała się nad miastem kometa, a w Pieninach zatrzęsła się ziemia. Gdy w dodatku pojawił się na ulicach miasta wóz ognisty w postaci „automobilu“ padł wielki strach na ojców miasta. Na dobitek jeszcze złe duchy porwały Bertę Brasson i syna ówczesnego sołtysa, Nykoły Perekińczyka.

Sołtys Perekińczyk po naradzie ze starszymi gromady, udał się do Najwyższego kapłana osady, zwanego „Moi-ście-wy“. Ten kapłan, wysłuchawszy o co chodzi, zamknął się przez 8 dni o chlebie i wodzie w Kowańcu, a wyszedłszy stamtąd, rzekł: „ludzie, kradliście i kradniecie, oszukiwaliście i oszukujecie, żyjecie w porubstwie i cudzołostwie, pójdziecie do piekła, i ja z wami. Antychryst wysłał już swego czeladnika Preka z ognistym wozem. Zginiemy z babami, koniami, dziećmi, i owcami, jeśli nie wykonamy ślubu który ojcowie nasi złożyli Neumarktowi. Konstytucyę już zaprowadzono, tj. że nie wolno kraść owiec, ale wolno kraść uczciwie w bankach, urzędach, w sołtystwie i zborze. Austrya już zaprowadziła czteroprzymiotnikowe głosowanie, więc musimy wybrać posłem Strzygonia Grojmana, którego juhasi znaleźli w propinacyi, a ten się podaje za praprawnuka naszego praszczura Neumarkta. Ponieważ jednak my nie mamy pieniędzy na wysłanie Grojmana do Windobony, przeto użyjmy na ten cel pieniądze, składane od wieków do sąsieka na budowę domu Bożego. Jeśli nie wyszlemy Grojmana, to Sułka gotów nas za nasze łajdactwa odprowadzić na „Czerwone“!“ Dok. nast.

Hakatystyczna gospodarka.

Z Krakowa otrzymaliśmy list: „Wasze artykuły o zniemczeniu krakowskiej stacyi kolejowej, i gospodarce importowanych naszych hakatystów w magazynach kolejowych, były bardzo na czasie. Szczególnie napiętnować się godzi gospodarkę naczelnika ekspedytu, znanego wam już, pana Reissnera. Człowiek ten, od wielu lat zajęty na tutejszej stacyi — kaleczy język polski, którym bardzo słabo włada; mimoto wbrew zapewnieniom pana dyrektora Banhansa pozostaje na naczelnem stanowisku w polskiej stacyi. A umie ten pan wyzyskiwać swoje stanowisko — i to na korzyść swojej własnej kieszeni, a w części na korzyść wielkich firm spedycyjnych jak: Leinkauf, Goldlust, Mendelsohn, Friedrich, Nadel itd.

Szczególnymi względami cieszy się Leinkauf. Pan Reissner ma do niego szczególniejsze zaufanie — na czem cierpi skarb państwa. Nikt tej firmy nie kontroluje; ładują sami, sami też wygotowują potrzebne papiery transportowe; mimo to kolej za ich niedokładność, braki towarów lu nieprawdziwą wagą, płacić musi — bo pan Reissner bierze winę Leinkaufa na karb kolei, i bez długich zachodów (nie tak jak to było z przesyłką ogrodnika z Woli), płaci zaraz żądane odszkodowania Leinkaufowi. W zamian za to, zna się Leinkauf na rzeczy, i pan Reissner chwali sobie Leinkaufa, a w części i Goldlusta. Ten ostatni ma w swych księgach handlowych osobną rubrykę, pod dniem 31 grudnia każdego roku, zatytułowną Neujahrs Gratifikationen für das Eisenbahnpersonal — co już sądownie w sprawie znanych i opisanych w Waszem piśmie oszustw Goldlustowych skonstatowano.

Takie firmy lubi pan Reisner; nie może jednak znieść firm mniejszyah. A ro-

bi im ciągle trudności, zakazuje, i prześladuje, o czem już „N. kolejarz“ w nr, 2, 3 i 4 z roku 1907 szeroko pisał. Tu przypomnieć należy sprawę licytacyi nadpalonych towarów, ze spalonego w roku 1906 magazynu Leinkaufa. Na gwałt sprzedawano towary za bezcen. — Pieniędzy atoli nie widać zarachowanych w żadnych księgach, co znowu skonstatowano sądownie w sprawie o rzekome oszczerstwo przeciw „N. kolejarzowi“

Głośna była również ongi sprawa sprzedaży dwóch wagonów otrąb, a przedstawia się ona następująco:

Te 2 wagony otrąb były własnością firmy spedycyjnej „Friedrich Langer et Nadel“. Licytacya była rozpisana na kilka dni po pożarze, na godzinę 3 po południu, a przyjechać na nią mieli urzędnicy dyrekcyjni z Wiednia, ale od czegoż spryt szwabski! Już o 9 godz. rano zrobiono interes! Ekspedytor p. Reisner sprzedał oba wozy w krótkiej drodze dwom kupcom żydowskim, którymi byli przypadkowo sami właściciele towaru, za 180 koron. O trzeciej godz. zeszło się kilku innych kupców między nimi także i p. S. Sperling na licytacyę. Pytają się o wozy, chcą licytować, a towaru już niema. Grożą więc doniesieniem do dyrekcyi, a może i do sądu. Chcąc odwrócić to niebezpieczeństwo, namawia p. Reisner nabywców, by p. Sperlingowi towar sprzedali; ale i oni chcą przy tem „zarobić“. Więc odstępują mu za 950 kor. P. Sperling zarobił na tym „interesie“ dalszych 400 koron... Teraz właściciel towaru skarży kolej o odszkodowanie za spalony towar. Kolej zastępuje adwokat dr. Maksymilian Nadel, kolej przegrywa i płaci właścicielowi towaru panu Nadlowi przeszło 2000 koron za wartość towaru — a samych kosztów 1100 kor. Na tym więc „interesie“ z winy p. Reisnera, wyszła kolej jak „Zabłocki na mydle“. Zapłaciła przeszło 3100 kor. za to otrzymała w drodze **„rzekomej“** licytacyi 180 kor. Najciekawszym jest fakt że pan Nadel kupił własność pana Nadla (tj. swoją), a proces który kolej przegrała, prowadził brat pana Nadla. Dziwny zaiste zbieg okoliczności. Nie dziw więc, **że tacy funkcyonaryusze** kolejowi i tacy kupcy nie chcą, by stacya Kraków, a właściwie magazyny kolejowe przeszły pod zarząd dyrekcyi kolejowej w Krakowie. Ta nie pozwoliła, by im na taką „gospodarkę“ przypominającą stosunki na kolejach rosyjskich podczas wojny japońskiej. Wolą dyrekcyę wiedeńską, bo ta jest daleko!“ X. X.

—o—

Mały fejleton. *„Gołąbek“.*

„Susznik“.

...to w lesie takie ot drobne, zeschłe gałązki, które wiatr wiosną i jesienią obłamuje z drzew, i składa na ziemię, jakby umyślnie na to, aby biedak — który niema pojęcia, jak wygląda moneta koronowa, i niema za co drzewa sobie kupić — miał przyczem „duszę zagrzać“.

Susznik, to takie ot drobne, zeschłe gałązki.

— — — — — — — — — —

Po chacie wiatr się goni, a ona pomarszczona, osiwiała starucha, siedzi na przypiecku, i tuli koło siebie dwoje wnucząt.

Takie to marne i biedne, aż żal patrzeć! I tak się tulą koło tej babki, która sama jest zziębnięta i drżąca...

Obydwa chłopczyki, obydwa czarnookie. Stara gładzi im główki, ociera rękawem zaczerwienione powieki, a z bezzębnych jej ust wydobywa się skarga, której dzieci nie słyszą i nie rozumieją.

„Robaki wy moje — sieroty wieczne, poszli ci, co was karmić mieli — poszli w daleką drogę za chmury, za gwiazdy, skąd powrotu już niema. Jakąż ja radę dam wam, sama o kiju chodząca, robaki moje— sieroty wy wieczne..

„Babko dajcie chleba — mówi starszy, może sześcioletni — dzień już tak dawno, a my nic nie jedli“.

Wstaje babina, sięga za komin, i wyjmuje węzełek. Jest w nim garść kukurudzianej mąki i kawałek jęczmiennego placka, wielkości męskiej dłoni. Łamie placek na dwie równe połowy, i daje dzieciom, a sama patrzy już tylko — rada, że choć tę okruszynę zjedzą.

Głośny wicher chodzi pod oknami, i wpędza coraz więcej zimna do chaty.

A babina stoi bezradna...

Zapaliłaby — niechby się choć dziecięta ogrzały, dwa dni już nic ciepłego nie jadły.

Niechby im choć z tej odrobiny mąki *„tyrbę“* (rodzaj zupy; kukurudziana mąka, zagotowana wrzącą wodą. Pożywienie dla ubogiej ludności, i podwórzowych psów dworskich; dla pokojowych piesków są... biszkopty i kurczęta pieczone) zgotowała. I przychodzą jej do głowy młode lata, jak to dziewczyną we dworze służyła; jaki tam psy dostatek miały! Ach, żeby ona mogła mieć to samo teraz dla swoich robaków...

„Babko zagrzejcie“ — prosi płaczliwie młodszy chłopczyna.

Starucha ściąga z pieca jakąś starą podartą zapaskę, i okrywa nią malców.

Siedźcie cicho — mówi — ja zaraz wrócę.

„A wy babko, gdzie idziecie?“ pytają trwożnie oba razem.

— Do lasu idę, patyków nazbieram, zapalę, aby wam ciepło było.

„A w lesie są ptaszki? — babko złapcie jednego dla mnie“ — mówi młodszy.

„I dla mnie jednego“, prosi starszy

— Dobrze, dobrze, tylko siedźcie cicho.

Otuliła się w dziurawy kaftan, i wyszła.

Szara, zgarbiona. Na tle szarej ziemi prawie rozeznać jej nie można.

Idzie poza wieś, skradając się polami. A przed nią czernieje las-olbrzym!

Ciemny, rozechwiany, cały szumem śpiewający. O dawnych czasach, dobrych czasach, kiedy go odwiedzały krasawice we dwie kosy zaplecione, i nuciły mu pieśni, zbierając jagody, grzyby, albo zeschłe gałązki.

I wdowy go odwiedzały, i sieroty opuszczone, i każde brało tyle, ile siły miało do niesienia..

A lasu nie ubywało!

Las stał

Zawsze olbrzymi, zawsze szeroki i długi, wierzchołkami chmur prawie sięgający...

A teraz cicho w nim i głucho.

Smutno szumi ten las-olbrzym, i drżą ze strachu stare dęby i jawory, aby nie nadszedł taki poranek, kiedy przyjdzie żyd rudo-brody, sprowadzi za sobą gromadę chłopów z siekierami, i położą olbrzyma na ziemię...

I drży las cały rozechwiany, szumem śpiewający.

A starucha wchodzi między pierwsze drzewa, nogi uginają się pod nią, ale nie siada odpoczywać, bo się boi, aby leśniczy nie nadszedł, albo i sam dziedzic.

Więc chyli się ku ziemi, zbiera gałązki, łamie na krótsze, i wkłada do torby.

Jeszcze trochę, a będzie czem raz w piecu zapalić.

A za nią już stoi leśniczy, chmurny - groźny — przecież on widzi dobrze, że nędza ją tu przywiodła — ale wypuścić ją z lasu z tą torbą susznику, to znaczy stracić kawałek chleba i dach nad głową.

Taki nakaz „złapać, drzewo odebrać, i obedrzeć do koszuli“. Więc choć mu żal tej staruchy, zbliża się i krzyczy.

„Ruszasz ty stąd, czy nie?!“

A kobieta drgnęła cała, opuściła torbę, wyciąga ręce, i prosi cała zalękniona.

„Darujcie panie, ja stara“ — i już nie może więcej mówić.

A on z miną groźną powtarza jeszcze raz:

— Ruszaj na cztery wiatry, abym cię nie widział!

I wyszła z lasu, płacząc żałośnie.

A w rękach leśniczego została torba z susznikiem.

— — — — — — — — — —

Susznik, to takie drobne, zeschłe gałązki, które wiatr wiosną i jesienią obłamuje z drzew, jakby umyślnie na to, aby biedak miał przy czem „duszę zagrzać“.

Precz z pruską tandetą!!!

Nie... krzykiem, nie... blagą, nie... szopkami, — jeno cichą, celową, wytrwałą a żmudną pracą, lepszą dolę Ojczyźnie wywalczyć zdołamy.

Zapiski i korespondencye.

Skapcaniały „Sokół“. Prezesa „Sokoła“ w Bełzie, p. mecenasa Wilkowskiego, mieliśmy już przyjemność kilkakrotnie coram publico prezentować. Przyjemny pan, dzielny człek, sierdzisty sokół, szkoda jeno, że na... pęcherz słaby. Myślicie, że sokół nie ma pęcherza? Ma! — Stwierdził to na ostemplowanem świadectwie, bełzki specyalista od ciężkich chorób, nasz luby, kochany, miły, i również P. T. Publice kilkakrotnie przez nas prezentowany, dr. (nie sądźcie, aby to skrócenie „dr.“ miało oznaczać... drab; broń Boże, oznacza to „doktor“) Herszko Frostig, właściciel strzelającego młyna.

Ano, sprawa z owym pęcherzem ma się tak: Jegomość pan mecenas Wilkowski i jego połowica, pani Helena, mieli na realności Adama i Zofii Stalów w Kossowie, zaintabulowaną jakąś pretensyę. Ponieważ pretensya ich w całości umorzoną została, a państwo mecenasowstwo nie miało ochoty pretensyę dobrowolnie wyekstabulować, przeto Stalowie uzyskali wyrok sądowy, polecający państwu Wilkowskim oczyszczenie hipoteki odnośnej realności z ciężarów (akta sądu kraj. lwowskiego C. II. 195/3; i sądu powiat. w Bełzie E 840/3). Gdy państwo Wilkowscy do tenoru wyroku się nie zastosowali, obłożeni zostali na wniosek dra Fedaka, adwokata we Lwowie, jako zastępcy prawnego małżonków Stalów, grzywnami. Nałożone grzywny okazały się nieściągalnemi (a cóż to za adwokat, prezes „Sokoła“ i kandydat na burmistrza, który razem do kupy ze żoną nie mają... **nic**, coby się nadawało do egzekucyjnego zajęcia!!), wślad za czem zamieniono grzywny na pięciodniowy **areszt**.

Ciągłymi rekursami i prośbami, wnoszonymi do sądu, starało się zacne stadło odwlec termin przymusowego pobytu w zacisznych apartamentach Tamidy.

Gdy zaś w końcu wyczerpał już pan mecenas wszelkie kruczki i kautele, i nie było już innego ratunku, zrobił się pan mecenas... chorym; a iże pani mecena-

sowa, jako czuła małżonka, chorobę męża serdecznie odczuła, **zachorowała** takoż. A więc legło małżeństwo w łożu boleści, i zawołało w progi swe komisyę lekarską któraby orzekła, iż tak pan mecenas, jak i pani mecenasowa, z powodu swych cierpień ani rusz w kozie siedzieć nie mogą.

Komisya (w skład której wchodził dr. Herszko Frostig) orzekła; że pani Wilkowska cierpi na: anemię, katar żołądka, reumatyzm, i zapalenie prawego jajnika. Zaś pan Wilkowski cierpi na: chroniczny nieżyt żołądka, powiększenie wątroby, zapalenie miedniczek nerkowych, na neurastenię w wysokim stopniu, i chroniczny nieżyt pęcherza moczowego. Wobec tak skomplikowanego stanu chorobliwego państwa Wilkowskich, przyszła szanowna komisya do przeświadczenia, że państwo Wilkowscy w kozie siedzieć nie mogą.

Lekarzami nie jesteśmy, ale bądź co bądź zdaje nam się, że prawy jajnik i mecenasowski pęcherz moczowy nie ucierpiałyby nic wskutek pięciodniowego wypoczunku ich właścicieli w zacisznych kazamatkach. Dotychczas nie słyszeliśmy jeszcze nigdy, by skazanym na areszt zwykłym bąbom wiejskim lub biednym mieszczankom badano prawe jajniki, i z racyi ich zapalenia uwalniano od kary. Dlaczegoż więc jajnik pani mecenasowej ma być specyalnie uprzewilejowanym i nietykalnym?, żeby choć lewy jajnik, ten od od strony serca, ale prawy?!

Mój Boże kochany, gdyby tak chodziło o zwykłego chłopa, to chociażby wcale pęcherza nie miał, w kozie siedziećby musiał, a czyż pęcherz adwokacki niby coś lepszego od chłopskiego?

Na razie, sprawa dalszej egzekucyi zaniechąna została. Po trzechletnich, daremnych zabiegach zaprzestał dr. Fedak dalszej akcyi, a Stalowie (biedni ludzie, jest on posługaczem na poczcie) wydali krwawo zapracowany grosz — bez skutku— na koszta.

Ale przecież u licha owo zapalenie jajnika i katar pęcherza nie mogą trwać wiecznie, czyżby więc nie było wskazanem urządzić znów świeżą rewizyę jajnikową, a w rezultacie zaprosić szanowne małżeństwo do kozy?

Dewiza sokola głosi, że „w zdrowem ciele zdrowy duch"; dyablo cherlawy musi być duch pana Wilkowskiego, skoro w takiej zdyzelowanej powłoce cielesnej spoczywa. Sokół bełzki powinien się na gwałt postarać o nowego druha — prezesa, bo z obecnego pociechy chyba mieć nie będzie... strasznie biedaczysko skapcaniał!

Litości prześwietna poczto! Niema dnia, abyśmy nie otrzymali licznych reklamacyj od naszych abonentów. Nie pomoże skrupulatne przeliczanie i kontrolowanie wysyłanych egzemplarzy przed oddaniem na pocztę. „Czaty" w niewytłomaczony wprost sposob, giną na galicyjskich pocztach, i nie dochodzą do rąk adresatów. Ciekawą jest naprzykład poczta w Mogilanach. Abonent nasz tamtejszy, zamieszkały w Gajach, nie otrzymał **ani jednego numeru** od początku roku, choć „Czaty" wysyłamy dlań regularnie, często po dwa i trzy razy w tykodniu, na skutek reklamacyj jego. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli postarać się o *rekomendowanie numerów z urzędu*. a wątpimy by to dla poczty było dogodnem.

Panu „Hofratowi" Horoszkiewiczowi do wiadomości. Dochodzą nas ciągłe ze wszech stron zażalenia, iż dyrekcye kolejowe wcale nie myślą zmienić opłakanych stosunków na liniach galicyjskich kolei; stosunków, jakich podobnych niema w całej monarchii. Ułożenie porządku, w jakim poszczególne partye konduktorów mają prowadzić pociągi osobowe i towarowe, dotychczas nie zostało przeprowadzone. A jest to nader ważna sprawa dla wszystkich, co jeżdżą pociągami. Partye mają prawo wymagać, aby turnusy były tak przeprowadzone, aby personal pociąg prowadzący nie był przemęczonym i zgłodzonym. Tymczasem dochodzą nas słuchy, iż np. dyrekcya krakowska nie myśli zmienić turnusu na linii kraków-Rzeszów i Kraków-Oświęcim. Bez zastanowienia się i bez należytego przygotowania, przeniesiono wszystkie maszyny towarowe do Podgórza-Płaszowa. Ponieważ pociągów towarowych odchodzi i przychodzi znacznie więcej jak osobowych, przeto całe partye konduktorów zamieszkałych w Krakowie, nie mogąc w oznaczonym czasie dostać się po odbiór swego pociągu, już kilka godzin naprzód muszą jechać z Krakowa do Podgórza, i na odwrót. Przeznaczony dla nich skąpy czas na wypoczynek, zostaje zrabowanym, i zamiast przepędzić czas wolny w gronie swej rodziny, muszą oni spędzać go w oczekiwaniu na odbiór pociągu, w dodatku pod gołym niebem, gdyż o jakiejkolwiek poczekalni wcale nie pomyślano.

Co więcej! Zdarza się, iż na jedną maszynę odchodzącą z Krakowa do Podgórza, siada 20—25 ludzi różnej kategoryi służby kolejowej, wraz z koniecznymi przyrządami jak latarnie, torby itd. które oczywiście tamują swobodny ruch maszynisty. Kiedy odchodzi pociąg ciężarowy, to po kilku konduktorów, ślusarzy palaczy i różnych robotników, nieraz i urzędnik czepia się gdzie kto może, na hamulce, pomosty, schodki itd. Każdy radby jak najwcześniej przybyć do służby lub do domu.

Jakżeż łatwo przy takiem „przepełnieniu" o wypadek. Wszystkiego tego zaś możnaby uniknąć, gdyby dyrekcya w inny dogodniejszy dla prowadzących pociąg sposób ustanawiała turnusy. Każdy człowiek — ba nawet zwierzę ma prawo do wypoczynku, tylko kolejarz rzadko kiedy doznaje tego szczęścia. Konduktorzy i maszyniści we własnym interesie powinni domagać się przeprowadzenia turnusów w taki sposób, aby personal mógł przynajmniej 10 godz. po pociągu odpocząć.

„Stul pysk, durniu!" W jednym z poprzednich numerów naszego pisma wykazaliśmy brutalne postępowanie urzędnika miejskiej akcyzy przy podgórskim moście, Jana Hutta. Panu temu wydaje się, iż posiada nie ograniczoną władzę pastwienia się nad rzeźnikami, dowożącymi mięso do Krakowa. Żeśmy zarzuty nasze na pewnych podstawach oparli, dowodzi rozprawa sądowa, jaka odbyła się w bieżącym tygodniu przed sądem powiatowym. Rzeźnik z Piasków Antoni Chlipała, zaskarżył obu wyżej wymienionych panów o obrazę czci, popełnioną przez to, iż Hutt i Swolkien w czasie swego „urzędowania" użyli do Chlipały słów *„stul pysk, durniu*. Sąd uznał ich winnymi, i zasądził obu po 24 godzin aresztu z zamianą na grzywnę po 10 koron, i na zwrot kosztów w kwocie 30 koron.

— — — — — — — — — — —

Zapytujemy obecnie prezydenta p. Lea czy mu ten fakt jest wiadomym, i jak długo jeszcze zamyśla Hutta i Swolkiena pozostawić na stanowisku urzędników akcyzy. Hutt i Swolkien udowodnili swojem postępowaniem, iż zdradzają podobne instynkta, jakie okazywał osławiony Peters wobec Hererów. Dla takich panów miejsce gdzieindziej, a 24 godzin to zbyt łagodna kara. A więc: „Do Afryki, do Kamerunu, tam gdzie pieprz wyrasta«!

Stańczykowskie skórobranie. A więc ma Kraków nowych ojców miasta! Wszem razem i każdemu zosobna ad multos **annos** życzymy. Stańczykerya wzięła już dokumentnie w łeb, i chyba nie prędko po tak soczystem laniu przyjdzie do siebie. Zostało wprawdzie jeszcze w radzie kilka zapleśniałych mastodontów w guście takiego Tonia Wodzickiego (wlazł do rady jak Piłat do creda) no, ale to już ostatni Mohikanie, a po ich wylaniu z rady (za trzy lata) zostanie na „Kotłowem", chyba jeno taki Stańczyk, któryby się zgodził na wypchanie swej cennej **osoby** i umieszczenie jej pod szklanym kloszem, ku wiecznej rzeczy pamiątce.

Na ogół możnaby być bodaj jako tako, z wyborów zadowolonym. Zarzucić jeno trzeba, że wybory te, tak jak w latach poprzednich, ściśle na galicyjską modę przeprowadzone zostały. Nie były to właściwie wybory, jeno nominacya radnych; a cała różnica między wyborami ostatniemi a w latach poprzednich jest tylko ta, że dawniej nominował radnych p. Leo w porozumieniu z... *konserwą*, a ninie mianował ich p. Leo w porozumieniu z... *tromtadracyą*. Ano, Bogiem a prawdą, to wyborów nijakich nie mieliśmy. Była sobie taka zwykła galicyjska szopka, najzwyklejszy w świecie szwindel słowem... świństewko, z tą jeno różnicą że nie stańczykowskie, lecz demokratyczne.

„Kotłów" ułożył przed wyborami listę przyszłych radnych. Na listę tę weszli na podstawie kompromisów, zawartych z urzędnikami różnych dykasteryj, panowie kolejowcy, pocztowcy, mniejsze i większe belfery, itd. itd. Gdyby na podstawie owych kompromisów weszli do rady miejskiej faktycznie ci, których odnośne dyskaterye urzędnicze reprezentantami swymi mieć chcieli; możnaby się było od biedy zgodzić na taką manipulacyę wyborczą.

Ba, ale sprawa się miała wręcz przeciwnie.

Ot weźmy naprzykład przedstawicieli kolejarstwa. Jako rekompensatę za cofnięcie w roku zeszłym, podczas wyborów parlamentarnych, kandydatury kolejowej, i poparcie przez kolejarzy w okręgu wyborczym „Wesoła" kandydatury p. Petelenca, zobowiązał się „Kotłów" przeforsować przy tegorocznych wyborach trzech kolejarzy do rady miejskiej. W ugodzie, ongi, z kolejarzami zawartej, zaznaczono wyraźnie że do Rady miejskiej wejdą ci kolejarze którzy przez **ogół kolejarzy** krakowskich desygnowani zostaną. Klauzula ta była zresztą zupełnie a zupełnie naturalną, boć Petelenza wybór dokonany został głosami **ogółu kolejarzy**, mających prawo wyborcze na Wesołej, a nie głosami kilku dyrekcyjnych podskakiewiczów, adlatusów pana Horoszkiewicza. Pod tym jedynie warunkiem kolejarze niższej kategoryi (podurzędnicy i służba) oddali swe głosy Petelenzowi, chociaż większość ich sympatyzowała faktycznie z Daszyńskim. Owcześni kolejowi wyborcy na Wesołej byli pewni, że wzamian za poparcie Petelenza, zagwarantowany im zostanie wpływ na tegoroczne wybory miejskie. Tak myśleć mieli prawo, a postąpić obecnie według ich myśli było obowiązkiem ichmościów z „Kotłowa".

Niestety stało się zupełnie inaczej. Stało się świństwo, a świństwo to miało przebieg następujący: W Krakowie itsnieje filia galicyjskiego związku urzędników kolejowych. Jest to stowarzyszenie utrzymujące swój suchotniczy żywot li tylko

dzięki poparciu pana Horoszkiewicza. Na przeszło pięciuset urzędników kolei państwowej w Krakowie, należy do związku zaledwie około 30. Przyzna więc każdy, że przy tak mizernej ilości członków nie może i nie powinno tak małe kółeczko rościć sobie pretensyi do reprezentowania ogółu urzędników kolejowych, a tembardziej ogółu kolejarzy.

Mimoto panowie ze „związku“ zwołali zgromadzenie (w którem wzięło udział zaledwie **czterdziestu sześciu** urzędników) i na zgromadzeniu tem wybrano komitet, któremu polecono zastanowić się nad wyborem kandydatów do rady miejskiej. I na tem skończyła się cała szopka. Komitet uznał się za rodzaj dyktatorskiej instytucyi, i nie troszcząc się bynajmniej o zapatrywania i wolę w tym kierunku **ogółu kolejarzy**, zamianował sobie najspokojniej w świecie **trzech inspektorów kolejowych** kandydatami do rady miejskiej. Kandydatów tych przyjął „Kotłów“ na swą listę, i panowie ci rzeczywiście w dniu 8 bm. w kole inteligencyi do rady miejskiej wybrani zostali.

W taki sposób zbagatelizowano najbezczelniej ogół kolejarzy, zdeptano cynicznie dane w r. z. zobowiązania, i zakpiono sobie formalnie z owych wyborców kolejarzy, którzy głosami swymi utrącili kandydaturę Daszyńskiego, a przeforsowali Petelenza.

Ocenę dotychczasowej działalności nowych radnych kolejarzy, tak na polu ekonomicznem jak i politycznem, odkładamy do przyszłych numerów, ostrząc sobie specyalnie apetyt na pana inspektora Maywalda. Dziś ograniczamy się tylko rzuceniem przestrogi pod adresem tak „Kotłowa“, jak i dyrekcyjnych macherów kolejowych: źle się panowie bawicie, i zabawa ta źle skończyć się może. Zbagatelizowaliście wolę ogółu kolejarzy, ponieważ ci „maluczcy“, w myśl obecnej ordynacyi wyborczej, nie mają prawa czynnego wyboru do rady miejskiej; bądźcie atoli pewni, że kiedyś gdy przy wyborach do rady miejskiej nastąpi powszechne prawo wyborcze, wówczas cała ta olbrzymia falanga oszukanych i wyzyskanych przez was kolejarzy niższej kategoryi, zwróci się przeciwko wam.

Pechowata fabryka. Sanocka fabryka wagonów przemienia się pomalusieńku w fabrykę.., kalek.

Dnia 9/3 przy przesuwaniu wozu naładowanego węglem, zgniótł ten wóz jednemu z popychających go robotników głowę tak silnie, iż nieszczęśliwy na miejscu skonał, pozostawiając po sobie żonę i siedmioro dzieci, Wina tego wypadku spada na dyrekcyę fabryki i inspektorat — ów sławny inspektorat we Lwowie. Węglarka bowiem jest tak blisko toru położoną, iż wóz ledwie się przesunie, mimo że powinno tam być tyle wolnego miejsca, żeby człowiek swobodnie przejść mógł. Wprawdzie, jeszcze za czasów Drewnowskiego, zwiedzał kilka razy fabrykę pan Nawratil, lecz tego zła nie widział, i usunąć nie kazał.

Tego samego dnia spadł jeden z pracujących kotlarzy z kotła i ciężko się potłukł. Zapewne „z własnej nieostrożności“. Na drugi dzień zaś, urwała hyblarka stolarzowi Duszce cztery palce u ręki. Dorobił się — jak wielu innych — kalectwa na całe życie. Hyblarka ta, okaleczyła więcej już ludzi, jednak dotychczas nikt z miarodajnych czynników nie wpadł na myśl zapobieżenia złemu. Może dlatego, że w grę „krajowy przemysł“ wchodzi.

We wtorek zaś 31. marca pokaleczyło żelazo dwóch robotników z kuźni. Jednemu upadając, skaleczyło rękę, drugiemu nogę. Sanocka fabryka stara się widocznie o patent na fabrykacyę kalek.

Cóż na to wszystko powie inspektorat przemysłowy? Czy panowie inspektorzy ustanowieni zostali li tylko celem pobierania... dyet?, czy też obowiązkiem ich jest czuwać nad wykonywaniem przepisów o bezpieczeństwie życia i zdrowia robotników?

Prosimy o odpowiedź!

Nowy Targ. (Myta powiatowe. — Dzierżawa browaru. — Inwentarz księży, a zasiłki dla biednych. — Urzędnicy miejscy. — Wszechstronny leśnik). Od roku 1815 aż po rok 1900, wszystkie rogatki mytnicze były daleko poza granicami miasta. Gospodarze, jadący do swoich gruntów i do lasu poza obręb miejski, nie opłacali wówczas myta. Aż naraz w r. 1901 mytnik Aszer Grynszpan ustawił samowolnie rogatki w mieście, i począł wymuszać od gospodarzy nienależące się opłaty mytnicze. Prześladowani przez mytnika Grünszpana gospodarze, zwrócili się do wydziału powiatowego, do wydziału krajowego, i do posła Stapińskiego. Pomimo upływu kilku lat, dotąd nie doczekali się ani odpowiedzi, ani załatwienia swych zażaleń.

—o—

Adwokat w Nowym Targu, Dr. Nowotny, wydzierżawił w r. 1902 na ośm lat browar miejski za 48.000 koron rocznie. Korzystając z swych wpływów na zarząd gminy, uzyskał z czynszu opust roczny w kwocie 8000 koron. Browar niesie przeszło **100.000 K.** rocznego dochodu, zatem gmina straciła na facyendzie kilkadziesiąt tysięcy koron. A zdałyby się te pieniądze bodaj na budowę nowego kościoła, tembardziej, iż fundusz kościelny gdzieś się ulotnił.

—o—

Ponieważ proboszcz tutejszy sprzedał inwentarz plebański, otrzymany po swym poprzedniku, więc gmina musi sprawić nowy. Łamią sobie głowę skąd wziąć na to pieniądze. Tymczasem fundusz znalazłby się, gdyby tylko gmina uczciwie gospodarowała. A od biedy lepiej użyć na ten cel owych 8000 koron, danych przez radę powiatową na zakupno zboża na zasiewy dla biednych. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że żaden z biednych nie będzie korzystał z owego zasiłku, ale że pieniądze te utoną w kieszeniach różnych wyborczych hyen germanowskich.

—o—

Olbrzymie długi miasta nie wpływają wcale na płacenie wysokich pensyj i tantjem różnorodnym miejskim dygnitarzom. Wójt recte „burmistrz“ dostaje za to, że nic nie robi, 2400 K. rocznie. Jego przyboczny sekretarz Nowicki, były uczeń akademii smorgońskiej, pobiera również takie same wynagrodzenie. Budowniczy miejski, Katerla, emerytowany inżynier rządowy od melioracyi, dostaje 1600 koron. „Biedaczysko“ ten, majacy w kasie, ut fama fert, 200.000 koron, poddzierżawił słono dostawę kamieni do regulacyi Dunajca. Leśniczy miejski Kabłąk ma 2400 koron i opał. To także nielada okaz i wszechstronny przemysłowiec. Jest on bowiem jeszcze geometrą cywilnym, (za komisyjki liczy sobie przeciętnie po 160 kor.) rzeczoznawcą sądowym, leśniczym w kilkunastu gminach, leśniczym w Witowie za opłatą 1000 kor, a nawet... *swoim własnym przełożonym*, gdyż jest powiatowym technikiem lasowym. Oczywiście za to jest osobno płatnym. Wobec tylu zajęć, nigdy go się w lesie nie ujrzy. Cały czas zabiera mu geometrostwo, plany i orzeczenia w sądzie. Roczny swój dochód fassyonuje na 10.000 koron. To wszystko jednak mu nie wystarcza. Żona jego sprzedaje sok malinowy, wyciśnięty z malin odebranych w lesie biednym dzieciom. Pani lesniczyna ma sumienie przyjmować takie „podarunki“ od biedaków, dla których owe maliny stanowią w lecie może jedyną podstawę ich bytu.

Pan Kabłąk spełniając równocześnie tyle funkcyj, odbiera chleb wielu młodym frekwentantom szkoły leśniczowskiej, którzy choć zginają się w „kabłąk“, posad otrzymać nie mogą. Naturalnie, — jeśli jeden Kabłąk jest in sua persona dziesięciorakim leśniczym, i jeśli takich Kabłąków jest więcej w kraju, to dla młodych adeptów niema w kraju chleba.

Z okazyi świąt Bożego narodzenia, Nowego Roku i Wielkiejnocy, rozsyłają Polacy w Galicyi blisko 20 milionów widokówek pocztowych. Wiecznie lekkomyślni i niepoprawni Polacy kupują widokówki... niemieckie! (najczęściej). Licząc po 10 gr. każdą, oddają w tych dwu tylko okazyach świątecznych blisko dwa miliony koron Niemcom. — A ileż dopiero w ciągu całego roku!... i to z samej tylko Galicyi — a ile z Wielkopolski, z Królestwa, z kolonii emigracyjnych?!... Czy to nie grzech?... Gorzej niż grzech, bo jeżeli w kategoryi innych towarów naszą lekkomyślność i niedbalstwo pokrywamy wymówką, że brak nam wyrobów krajowych, to w dziale widokówek z pewnością nie brak polskich, i to bardzo pięknych nakładów — zatem kupowanie niemieckich nie może być niczem usprawiedliwione — i jest już nie grzechem, ale zbrodnią.

A więc nikt pod groźbą hańby nie powinień kupić ani jednej widokówki niemieckiej, tylko polskie, z wyraźną firmą polskiego nakładcy. Pamiętajmy o tem zawsze, nie tylko w czasie świątecznym; kontrolujmy i upominajmy jedni drugich, bo nasze lenistwo i niedbalstwo większe są niż patryotyzm, a kontrola nawróci niejednego do upamiętania.

Czyżby znowu „Szparsystem“? Galicyjskie dyrekcye kolejowe zawiadamiają publiczność za pomocą prasy tylko o takich nieszczęśliwych wypadkach, które i bez dyrekcyjnych komunikatów przedostaną się do jak najszerszej wiadomości. O mniejszych wypadkach dyrekcye nasze dyskretnie milczą; czemu się nawet nie bardzo dziwimy, bo! gdyby tak np. dyrekcya stanisławowska chciała zawiadamiać prasę krajową o wszystkich wypadkach w jej okręgu zaszłych, to musiałaby chyba mieć specyalnego ad hoc korespondenta.

Jużto dyrekcya stanisławowska cieszy się specyalnym pechem. Nie ma niemal dnia, by w okręgu jej nie zdarzył się jakiś wypadeczek; prawdziwie, „nulla dies sine linea!“ A kto temu winien? — Nikt inny, jeno osławiony szlendryan i szparsystem kolejowy.

W jednym jedynym dniu 21. marca zdarzyły się w okręgu stanisławowskiej dyrekcyi aż trzy wypadki wykolejenia.

I. W Skale wyskoczył pociąg ze szyn na zwrotnicy, z powodu wadliwości tejże. Przy podnoszeniu tendra i jednego koła lokomotywy okazało się, że gdy człowiek stanął na „progu“ kolejowym w środku szyn, próg ten uginał się pod ciężarem człowieka tak silnie, że końce progu wysterczające poza szyny, podnosiły się do góry. Niektóre progi uległy zupełnie zgniliźnie, strupieszały niemal doszczętnie, i można je było zwykłym patykiem wydłubywać. W takim stanie znajdują się progi kolejowe na całej przestrzeni Iwanie puste — Wygnanka,

i Skała—Teresin. Już przy budowie tej przestrzeni użyto wiele progów starych zamiast nowych, a obecnie inżynierowie sekcyjni twierdzą, że wystarczy, jeśli co czwarty próg będzie dobry, „zdrowy“.

Inżynierowie sekcyjni (sekcye konserwacyi kolei żelaznej wykonują bezpośrednią kontrolę nad stanem toru kolejowego) zakazują wprost szlakowym (banmistrzom) zakładania nowych progów („szwele“), gdy atoli nastąpi nieszczęśliwy wypadek, pociągają banmistrza do odpowiedzialności, pod zarzutem, że nie wymienił progów starych na nowe.

W tym samym dniu, tj. dnia 21. marca, nastąpiło drugie wykolejenie w Teresinie. Trzecie wykolejenie nastąpiło na przestrzeni poza Teresinem. W obu wypadkach przyczyną był, tak jak i w pierwszym wypadku (powyż opisanym), zły stan progów. Cała przestrzeń jest formalnie zgniłą, strupieszałą, i po takiej przestrzeni kursują długie i ciężkie maszyny, tak zwane „czterokuplerki“. Pod ciężarem ich rozsuwają się szyny, szczególniej na łukach. Maszyniści—prowadzący te lokomotywy, narażeni są każdą chwilą na śmierć, maszyna bowiem w czasie całej jazdy chwieje się i balansuje jak łódka na wezbranej wodzie. Niebezpieczeństwo jest tem groźniejsze, że maszyny »czterokuplerki“ nie mają hamulców („bremza“) parowych, a wszystkie lekkie maszyny z hamulcami parowymi, zabrano na główne linie, i na linie kolei... „północnej“. Z samej ogrzewalni w Czortkowie zabrała poczciwa i uprzywilejowana „Nordbanka“ aż dwie takie maszyny.

Poruszona przez nas sprawa jest zbyt poważną, by stanisławowska dyrekcya kolejowa mogła przejść nad nią do porządku dziennego. Zignorowanie nowych uwag byłoby już nie lekkomyślnością, lecz wprost zbrodnią, mogłoby bowiem narazić setki ludzi na utratę życia.

Spodziewamy się więc, że pan Hofrat Gayer wyda bezzwłocznie odpowiednie zarządzenia.

Bezpieczeństwo publiczne na prowincyi. Radymno słynie nietylko z wyrobu powrozów, ale i z ulicznych napadów na spokojnie idących przechodni. Mała dziura prowincyonalna posiada też swoich bandytów, zakłócających spokój publiczny. Oto ubiegłej niedzieli, jak nam stamtąd donoszą, szło dwóch młodych ludzi traktem jarosławskim, nucąc z cicha „W mogile ciemnej“. Naraz z poza płotów, za byłemi koszarami żandarmeryi, krzyknął ktoś na nich: „stul pysk, taki synu, bo post!“ Idący ucichli, ujrzeli bowiem kilku drabów, wyłaniających się z poza płotu. Skoro ich minęli, poczęli draby rzucać za nimi dużymi kamieniami. Panowie musieli przed nimi uciekać, i jedynie szybkości swych nóg zawdzięczają, iż wyszli cało z grożącego im niebezpieczeństwa. Zaznaczamy, iż napady takie, w Radymnie nie są wcale nowością. Dlatego pożądanem byłoby, aby p. burmistrz Popkiewicz zajął się zaprowadzeniem porządku na terytoryum swego paszaliku, wysyłając w strony nieco oddalone przynajmniej jednego policyanta, lub postarał się o patrol żandarmeryi. Inaczej może i jego spotkać jaka nieprzyjemna przygoda.

Z Mielca donoszą: „Ruch w naszem miasteczku nie do opisania; codzień jakieś nowe „wiwaty“. I tak najpierw żegnano przeniesionego stąd do Tarnowa radcę sądowego Antoniego Komalskiego, któremu wszyscy z całego serca życzyli... „złamania karku“. Następnie żegnało kasyno powiatowe wielce zasłużonego dygnitarza z ery wyborczej, Moszka false Morica Reicha, oficyała urzędu podatkowego, który jako Jankiel narodowy (*opłacony*) wielkie zasługi położył. Podczas wyborów zwyż **sześć** tygodni objeżdżał okręg wyborczy, zwolniony z urzędowania, agitując za Michasiem Bobrzyńskim, a w miejsce jego pracowali koledzy do znużenia! Po wyborach nasz Jankiel udał się, otrzymawszy zapomogę (!!), ze swą połowicą do badów, aby odpocząć po trudach i znojach. Po powrocie z badów, otrzymał w uznaniu położonych zasług X rangę i przeniesienie do Przemyśla! Tak się opłaca lizuniów, którzy celowali w denuncyowaniu swych przełożonych i podwładnych.

Z końcem lutego br. zrezygnował burmistrz, i to nie mało dało ruchu, gdyż po dziś dzień drugi zasłużony dygnitarz ery wyborczej, adwokat Stanisław Łojasiewicz nie został jeszcze wynagrodzony. Upatrzono dla niego stolec burmistrzowski. Wszelkie ku temu czynione starania i zabiegi spełzły jednak na niczem, bo biedni obywatelkowie miasta przebudzeni z letargu, nie dają się nadal tumanić i za nos wodzić szelmowskiej klice. Nie pomogły nawet prośby i groźby marszałka i opiekuna powiatu Stefana Sękowskiego, który oświadczył solennie, że choćby miał całe miasto... zbombardować, to Łojasiewicz musi być burmistrzem! Ale strachy na Lachy. Radni mieleccy doszli już do świadomości, i burmistrzem obrali 30. marca br. (na 30 głosujących, 27 głosami) mieszczanina z krwi i kości p. Feliksa Brożonowicza, a nie karyerowicza, któryby kosztem biednej i wycieńczonej gminy, chciał sobie zabezpieczyć byt, kancelarya bowiem jego adwokacka jest „unter dem Hunde“. Ale nasi opiekunowie nie śpią. Wnet upatrzyli inną rentowną synekurę dla Łojasiewicza. Opróżniony mandat radcy Komalskiego do rady powiatowej, musi być nadany Łojasiewiczowi. Gdy to nastąpi, zostanie płatnym dyrektorem!!?? Pożądanem i wskazanem jest, aby i w tym wypadku wyborcy dali naszym prowodyrom i sprzedawczykom należytą odprawę, i powiedzieli: „wysłać Łojasiewicza na dyrektora do Honolulu“. Zjednoczeni powinni dokazać tego, co dopięli przy wyborach na prawyborców do sejmu, gdzie Łojasiewicz, pomimo wszelkiej agitacyi i wpływów, otrzymał... aż **10** głosów na prawyborcę. Tym razem zwichnęła mu się również nóżka. A gdy tak dalej potrwa — pójdzie pan mecenas tam, gdzie pieprz rośnie.

Tą drogą jednak apelujemy do nowo wybranego burmistrza, żeby baczniejszym okiem i większą jak praktykowana dotąd energią, otaczać chciał swych funkcyonaryuszów magistrackich, żeby raz na zawsze usunąć „kubaniarstwo“, jakie tam się wkradło i prosperuje. Następnie by zechciał sierżantowi policyi Bazylemu Goroniowi polecić, żeby zaprzestał prześladować golarza Berkowicza, który Bogu ducha winien. „Bat“.

Cuchnąca sprawa! Pod tym tytułem zamieściliśmy w Nr. 7 dłuższy artykuł o nadużyciach firmy Goldlust i Ska. Donieśliśmy również, iż pan Michalka, na którego Resch przez swego zastępcę adwokata Dra Rosenblatta wydał paszkwil, i rozesłał tenże do redakcyj pism krajowych, — zrobił doniesienie do c. k. prokuratoryi państwa o zbrodnię oszczerstwa i przekroczenie z § 488, 489, 491 i 492.

Prokuratorya odrzuciła doniesienie i skwalifikowała czyn p. Resza jako przekroczenie przeciw bezpieczeństwu czci. Sprawa przyszła przed forum c. k. sądu obwodowego w Rzeszowie. Ten ostatni pragnąc pana Michalkę salwować przed ewentualnem przedawnieniem — wystósował do sądów powiatowych w Oświęcimie i Krakowie następujące pismo które dosłownie przytaczamy:

1) Do c. k. Sądu pow. w Oświęcimie.— W sprawie karnej Zygmunta Rescha i spólnik. o zbrodnię oszczerstwa przesyła się pod 1) doniesienie z 7 grudnia 1907 oraz odpis doniesienia z 25 października 1907 i załącznika, z prośbą o przesłuchanie jako podejrzanego na treść doniesienia Artura Garfunkla, właściciela firmy spedycyjnej «Augenblick“ w Oświęcimie Celem uniknięcia ewentualnego przedawnienia w kierunku przekroczenia przeciw bezpieczeństwu czci, uprasza się o wygotowanie wezwania podejrzanego **jeszcze przed dniem 30/12 1907.**

C. k. Sąd obwodowy w Rzeszowie Odd. XIII dnia 24 grudnia 1907 Tichy (m. p.).

II) Do c. k. Sądu krajowego karnego w Krakowie.

Załączając pod ./· akta sprawy karnej Zygmunta Rescha i spóln. o zbrodnię oszczerstwa, uprasza się o przesłuchanie jako podejrzanego p. Zygmunta Rescha z Krakowa. Celem przerwania ewentualnego przedawnienia w kierunku przekroczenia przeciw bezpieczeństwu czci, uprasza się o wygotowanie wezwania dla podejrzanego **jeszcze przed 30/12 1907.**

C. k. sąd obwodowy w Rzeszowie Odd. XIII. dnia 24 grudnia 1907 Tichy m. p.

A co zrobiły sądy w Oświęcimie i Krakowie celem przerwania ewentualnego przedawnienia, i salwowania praw oskarżyciela przeciw oszczercom i złodziejom cudzego honoru?

Rozpisały termina przesłuchania obu „podejrzanych... **na dzień 31 grudnia 1907.**

Skutek był ten, że od dnia wniesienia doniesienia przez pana Michalkę, do dnia przesłuchania oskarżonych upłynęło 91 dni, tj. akurat tyle, ile procedura wymaga... by nastąpiło przedawnienie, a oszczerca uszedł zasłużonej kary.

— — — — — — — — — — —

Należałoby obecnie sprawę zbadać, celem przekonania się, czy nie wchodzi tu w grę jakaś mowa protekcyjka na rzecz uprzewilejowanego pana Rescha?

A któż obecnie zwróci panu Michalce znaczne koszta wyłożone na skargi, adwokata, jazdy do Rzeszowa i t. d.?

Jeśli zawiniły sądy, niechajże **sądy płacą**!

Austrya uratowana! Walenty Czech, tamiarz ze Sielca, powiatu tarnobrzeskiego, pracował przy budowie tam na Wiśle, w powiecie dąbrowskim. Dnia 15 maja 1906 rano, koło godziny 10. przepłynęło małe prosię przez Wisłę oddzielającą Galicyę od Królestwa Polskiego. Prosię biegało po piasku koło tamy. Czech posłał dwóch chłopaków od roboty, prosię złapali, i przynieśli do gospodarza, u którego mieszkał Czech, i w osobnym chlewku umieścili.

Czech zgłosił do Urzędu gminnego, że złapał prosię z Królestwa. Urząd gminny zgłosił do Starostwa, a w tym czasie przybył z Królestwa właściciel prosięcia. Starostwo pozwoliło właścicielowi zabrać swoje prosię, ale nadszedł p. Dobrzański, strażnik skarbowy, zrobił opis czynu do straży skarbowej na Czecha, jako przemytnika. Straż zaskarżyła Czecha do sądu w Dąbrowie, i prosięcia właścicielowi wydać nie chciała, ale na licytacyi gminnej prosię sprzedano. Sąd powiatowy uniewinnił Czecha od kary, jednak dyrekcya skarbowa nie odstąpiła od dochodzenia. Komisarz skarbowy śledczy przyjechał do gminy Sielec w pow. tarnobrzeskim, do miejsca stałego zamieszkania Czecha, spisał z nim protokół. Czech do obrony podał świadków, i nie wie do dziś, czy świadkowie byli przesłuchani, mimoto dyrekcya nałożyła grzywnę na Czecha za przemytnictwo. Przeciw karze wniósł Czech rekurs, na który niema dotychczas odpowiedzi. W każdym razie prosię sprzedano samowolnie, nielegalnie, i za zbyt niską cenę 12 koron co jest krzywdą dla właściciela z Królestwa. Narzekał też biedaczysko na władzę austryackie za taką krzywdę, bo prosię więcej kosztowało, a podróż po prosię więcej wyniosła niż kwota uzyskana z licytacyi.

I proszę pam powiedzieć co za sens

ma cała taka komedya? Czyż straż skarbowa niema nic lepszego do roboty, jak włóczyć biednych chłopów po sądach? Strach! — świnia z Królestwa uciekła... Austrya zagrożona!

Sprawą powyż opisaną zajął się Pan Wojciech Więcek, poseł do parlamentu, i przyobiecał przedstawić ją w ministerstwie.

Ze Stanisławowa i okolicy. Korespondent nasz donosi: „Przesyłam kilka wiadomości o wójcie z Krechowiec. Otóż pan ten przepija pobrane grzywny w karczmie. Za paszporty dla bydła każe sobie więcej płacić, niż taksa wynosi. Wójt cichaczem oddał w dzierżawę szutrowisko swemu zięciowi, i to za marne pieniądze, chociaż gmina mogłaby mieć z tego wcale pokaźny dochód. Starosta toleruje te łajdactwa wójta, bo z niego jest doskonała hyena wyborcza; we wszystkiem usłużny, pokorny, zginający się do stóp pana starosty, cieszy się jego względami. Pisarz we wszystkiem też naśladuje swego mistrza. Dba więcej o karczmę niż o gminę, a nawet **niż** o własny dom i rodzinę. Pieczątkę gminną nosi przy sobie i gdy zajdzie potrzeba, rozpoczyna „urzędowanie". Podpisuje wójta i przybija pieczątkę na różnych prywatnych dokumentach, za co zawsze coś wpłynie do głębokiej a nienasyconej kieszeni pisarskiej. Takimi to dygnitarzami zostały obdarzone Krechowce.

A teraz trochę o gospodarce gminnej w Knihininie. Kahan, (wójt) ponieważ kadencya jego kończy się już za rok, poczyna gminie porządnie dawać się we znaki. Sposobność ku temu zawsze się znajdzie, nie brak jej i teraz. Starostwo tutejsze poleciło gminie wybudować nową rzeźnię, albowiem obecna nie odpowiada przepisanym warunkom. Rzeźnię tę dzierżawił dotychczas Rauch za 11000 koron rocznie, a dzierżawi on również miejską t. j. stanisławowską rzeźnię. Jeżeli przeto starostwo poleciło gminie budować nową rzeźnię, i to pod rygorem zamknięcia obecnej, to łatwo się domyśleć, iż rozchodzi się tu tylko o napędzenie do kieszeni Raucha kilkunastu tysięcy nadzwyczajnego dochodu rocznie. Gmina będzie musiała bić bydło w rzeźni stanisławowskiej, na czem Rauch zarobi 10000 koron, zaś gmina straci ów czynsz dzierżawny 11000 kor. płacony dotąd przez Raucha. A z jakich funduszów właściwie gmina ma budować rzeźnię, kiedy w kasie gminnej wieczny deficyt? Na szkołę pieniędzy niema a staroswto poleca rzeźnię budować! Otóż wskutek tych machinacyj Raucha, starosty i Kahana, który już nie ma nadziei być nadal wójtem, gminie odpada dochód roczny 11 000 koron. Tym samym zaś kontrybuentom przypadnie płacić około 8% ciężarów, czyli ogólnie wziąwszy zwiększy się ciężar podatkowy do 100% albo i więcej.

Ciesz się narodzie! Pod rządami takich wójtów i protekcyi starosty, czekają cię ciągłe niespodzianki. To też naród jest tak wzburzony, że nie można ręczyć za to, czy jeszcze przed ustąpieniem z wójtowstwa nie połamią Kahanemu kości. A zdałaby mu się taka nauczka.

Umarł i pogrzebion został, nie w ziemi, jeno w łasce namiestnikowskiej i w awansie politycznym. Niechajże spoczywa w miłej pamięci u brzozowian, a westchnienia niektórych niezaspokojonych dotychczas wierzycieli niechaj mu lżejszemi będą, niż „Czatom" przeświadczenie, że nad zwyciężonym pastwić się nie godzi, że i największemu grzesznikowi, w razie okazanej skruchy, winę darować należy, że — powiedzmy szczerze — taką miluchną, tłuściuską, pulchniutką myszkę z naszych kocich pazurków wypuścić musimy.

Otrząsł swe sandały z brzozowskiego pyłu, wyplenił z serca resztki kieckowej sielanki, kuprowinę i nikiel zostawił w pamiątce Teichowi, i skierował swe kroki tam, kędy go pognała wola namiestnikowska, i gdzie się nie spodziewał zastać... „Czat".

A jednak „Czaty" już tam nań **czatują**. W białośnieżne góry przyniosły wieść o przybyciu jego, i przykucnąwszy cichcem pod kosodrzewiny cieniem, czatują bacznie, by z przyszłego postępowania p. Tadeusza wysnuć dalsze... konsekwencye.

Domyślacie się Państwo, że mowa tu o p. Tadeuszu Hildzie. Opuszcza on wkrótce Brzozów po 9 letnim pobycie, a miejsce jego obejmuje w maju b. r. komisarz Russocki.

Odejdzie z Brzozowa p. Hild. Osiągnęliśmy satysfakcyą częściową; ba, ale sukces ten nie zadowala nas bynajmniej, a to z tej prostej przyczyny, że pozostaje tam jeszcze cała paczka ludzi, którzy nie uczniami, ale mistrzami Hilda byli. Ani bronić, ani chwalić, ni też cudzych grzechów pod korzec kryć, zadaniem naszem nie jest. Sprawiedliwość atoli i etyka dziennikarska skonstatować nam nakazuje, że jeżeli Hild grzeszył, to czynił to raczej pod wpływem, niejako suggestyą fałszywych przyjaciół, lichych moralnie jednostek, niśli z własnego popędu.

Hild zgrzeszył łatwowiernością i brakiem życiowej praktyki, wyzyskiwanym przez całą falangę rafinowanych samolubów, gotowych poświęcić każdej chwili przyszłość niedoświadczonego człowieka i zakłócić pogodny dotychczas zmierzch życia jego rodziców, byle tylko.. zwilżyć jego kosztem spragnione wiecznie gardziele, i zdobyć z jego kieszeni fundusze do hulanki.

Hild padł ofiarą ich. Rzecz naturalna, ze padając, musiał pociągnąć za sobą i inne ofiary. Skorzystał z tego pająk — Teich, no, a resztę wiecie...

Odchodzi z Brzozowa Hild, lecz pozostają inni. Z Hilda nie spuścimy oka, gdziekolwiek on się uda, ale na Brzozów od dzisiejszego dnia już nie gołe, lecz najsilniejszemi szkłami opatrzone zwracamy oko.

Będziemy śledzić wytrwale.

A więc bacznośc... **pająki!...**

Po ukazie. Leżą przed nami 2 dokumenty, godne zdeponowania w jakiemś muzeum wszechświatowej biurokracyi.

Jeden z dokumentów opiewa (w tłumaczeniu polskiem): „Jego Wysokość Jaśnie Wielmożny Pan Policmajster Kabzanajew opuszcza dotychczasowe miejsce swego urzędowania, udając się łaskawie do Premysławja. By Jego Wysokości okazać wdzięczność i miłość Jego dotychczasowych podwładnych, zarządza się ogólny Zjazd wszystkich podwładnych Mu urzędników, celem wyrażenia czołobitności i złożenia upominku. Wzywam Pana Sowietnika, by polecił podwładnym (w rosyjskim oryginale wyrażono się „mużykom)" przybycie w dniu . . . . godzina 12 do Sanojewca i zgłoszenia się w gmachu . . . ., gdzie pouczeni zostaną, czy ewentualnie co, mają gadać, lub robić. Przykazuje się Panu Sowietnikowi surowo, by rabiatę swą podwładną pouczył, iż przybyć należy w białym halsztuku, czystym kołnierzyku, białych rękawicach i fraku. Koszula niekonieczna. Wystarczy półkoszulek. Chusta do nosa musi być, na podłogę, ani w palce siąkać nie wolno. Za tę łaskę, że swołocz przed Jasne oblicze Pańskie dopuszczona zostanie, ma każdy z uriadników-sowietników złożyć rubli srebrnych 20, każdy ze sekretarzy po 16, a z mużyków-adjunktów po 10 rubli. Z pieniędzy tych kupimy Jego wysokości upominek, a reszta pójdzie do rąk naszych w . . . . depozyt. Josafat Kubaniewicz Paszkiewskiej mp. Dwa podpisy nieczytelne".

To dokument pierwszy, a teraz dokument drugi:

„Sanok, dnia 3 kwietnia 1908. Świetne Naczelnictwo Sądu powiatowego w . . . . Gremium sędziowskich urzędników w uznaniu zasług pożegna uroczyście JW. P. Kajetana Chylińskiego, prezydenta sądu obwodowego w Sanoku, przeniesionego do Przemyśla, na dniu 12 kwietnia 1908 godzina 12 w południe w gmachu sądowym, (frak, biała krawatka), aby **Mu** wręczyć odpowiedni upominek z fotografiami, udział biorących. Format fotografii zupełnie dowolny. Upraszamy Naczelnictwo **o zawezwanie** kolegów sędziowskich do współudziału. Na koszta p r e l i m i n o w a n o około 800 K. Na kwotę tę mają się złożyć: urzędnicy VII rangi po 20 koron, — VIII rangi po 16 koron, — IX rangi po 10 koron. P a s z k i e w i c z mp. Dwa następne podpisy nieczytelne".

— — — — — — — — —

Hm! Dwa państwa, — dwa mocarstwa, rozdzielone słupami granicznymi, — ale idea tasama. Z tamtej strony forma cośkolwiek brutalniejsza, zalatująca dziegciem i zbyt widocznie knutem grożąca. Z tej strony składniejszy dobór słówek, a brutalny cynizm czynowniczy, obficie perfumą zroszony. Jądro treści atoli tosamo. Tu i tam chroniczny serwilizm, lokajstwo, wołające na gwałt o . . . wazelinę. Tu i tam zaprzepaszczenie godności sędziowskiej, miażdżenie najpiękniejszej perły urzędniczej t. j. niezawisłości sędziowskiej w łapach biurokratycznych mastodontów, upatrujących cel życia i posłannictwa w robieniu karyery z pomocą przedpokojowej protekcyi. Ba! aczkolwiek takie pojęcie etyki sędziowskiej jest już samo przez się ś w i ń s t w e m, to jeszcze nie byłoby **zbrodnią**, gdyby od tej rzeszy sądowych urzędników żądano jli tylko złożenia homagium słownego; ale wymagać od ludzi, obarczonych rodzinami i materyalnie licho sytuowanych, składania ofiar pieniężnych, odbijających się dotkliwie w budżecie domowym, na takie nieproduktywne cele, jak kupno upominku dla **znienawidzonego** faktycznie przełożonego, jest już nie tylko świństwem, ale i . . . . zbrodnią, wprawdzie nie w oświetleniu kodeksu karnego, ale na każdy sposób w pojęciu kodeksu moralnego.

W obecnych czasach monstrualnej wprost drożyzny, biedny urzędnik z każdym groszem liczyć się musi. Czyż więc wyrzucanie grosza na cele nieproduktywne nie jest śmiertelnym grzechem popełnionym wobec rodziny?

— — — — — — — — —

W orędziu cesarskiem, wygłoszonem w dniu otwarcia pierwszej z woli ludu wybranej izby poselskiej, poruszono jedną z najdotkliwszych bolączek państwowych. Cesarz wypowiedział swe zdanie, że należy dążyć do poprawy bytu urzędników, a da się to uskutecznić w pierwszej linii, przez... **oddłużenie.**

W słowie tem *„oddłużenie"* mieści się myśl głębsza. Zwolnienie urzędnika z pęt lichwy jest równocześne zapewnieniem niezawisłości. Cesarzowi, poruszającemu tę ważną sprawę, nie zależało zapewne na tem, by któremukolwiek z urzędników zapewnić mniej, lub więcej wybredny obiad, jeno na tem, by przez zwolnienie go od trosk pieniężnych wzmocnić niezawisłość urzędniczą, wzmocnić odporność przeciwko jakimkolwiekbądź wpływom ubocznym, przejawiającym się częstokroć, zwłaszcza u nas w Galicyi... **kubanami.**

— — — — — — — — —

W Rosyi, jeśli znajdzie się jakiś czynownik, sprzeciwiający się woli cara, uznany zostaje za buntowszczyka i wędruje wprost na... Sybir...,!

Jest to cośkolwiek po azyatycku, no ale bądź co bądź, jest zarazem logicznem; skoroś grzyb, to leź w... kosz!

A u nas?!

Sędziwy monarcha, troskliwy o dobro państwa i pragnący nowemu parlamentowi rzucić hasło produktywnej pracy, wysnuwa ze swej 60 letniej działalności przeświadczenie, że jednym z warunków w rozwoju państwa jest... **„oddłużenie u-**

rzędników". A pan radca sądu obwodowego w Sanoku Józef Paszkiewicz tłumaczy sobie wolę i wskazówki sędziwego monarchy w ten sposób, że każdy urzędnikom sądowym zadłużać się po to, by panu Kajetanowi de Jastrzębiec Chylińskiemu zakupić jakiś prezencik, a resztę schować do... depozytu (a jakże!).

— — — — — — — — —

No i powiedzcież Państwo, gdzie postępują uczciwiej, w Rosyi, czy u nas?

W Rosyi łupią w myśl ukazu carskiego, u nas łupią wbrew orędziu cesarskiemu.

Pouczenie dla radnych.

W uzupełnieniu poprzedniego numeru, podajemy poniżej dalszy ciąg wykazu przekroczeń, których karanie leży w zakresie władzy gminnej.

13. Przekroczenie przepisów budowlanych dla miasta Lwowa i Krakowa, ulega karze 100 do 600 koron, ewentualnie karze aresztu od 10 dni do 2 miesięcy. Rekurs do dni 14.

14. Niezastosowanie się do zarządzeń burmistrza, względnie naczelnika gminy (§ 4. ust. z dnia 10/2. 1891. l. 18 dz. ust. kraj.) ulega karze od 10 do 100 koron, ewentualnie do 10 dni aresztu.

15. Przekroczenie przepisów ustawy o ochronie własności polnej, ulega karze do 30 kor. (§. 12. ust. z dnia 17/7 1876 r. l. 28. dz. ust. kr.) Rekurs do 8 dni.

16. Wybieranie i psucie jaj i gniazd ptaków dziko żyjących, chwytanie i zabijanie niektórych ptaków itp. ulega karze od 2 do 30 kor. ewent. od 12 godzin do 3 dni aresztu (ustawa z dnia 21 grudnia 1874. l. 10. d. u. k. ex 1875). Rekurs 14 dni.

17) Dręczenie zwierząt ulega karze od 2—200 K. ewent. od 6 godz. do 14 dni aresztu (rozp. min. z dnia 15 lutego 1855. l. 31. d. u. p.) Rekurs do 3 dni.

18. Przekroczenie przepisów regulaminu dla sług ulega karze do 50 K. ewentualnie 14-dniowego aresztu (Regulamin z 1/7 1857, l. 12. d. u. k. Rządu krakowskiego z 11/3 1855, l 954 d. u. kr. Nr. 14). Rekurs do 3 dni.

19. a) urządzanie publicznych zabaw z muzyką i tańcami, balów i redut bez pozwolenia miejscowej władzy, ulega karze od 10—100 kor.; za drugim razem w podwójnej wysokości.

c) za zaniedbanie doniesienia o urządzeniu domowych balów, od 20—200 K.

c) goście, którzy mimo upomnienia gospodarza nie przestaną tańczyć, podlegają karze od 4—20 K.

d) muzykanci ulegają karze od 3—24 godzin a po raz wtóry 2—3 dni (dekr. nadw. z 12/5 827 Zb. ust. pol. 60). Rekurs do 3 dni.

20) Trzymanie otworem szynków i kawiarń po godzinie dozwolonej, ulega karze 2—200 K., ewent. od 6 godz. do 14 dni aresztu (Rozp. min. z 3/4 844 l. 62 d. up.).

Zagadki.

(ułożył A. Michalicha).

I.

Pewien narod dość nieblisko,
Jakieś dziwne ma nazwisko.
Zeszły się w niem jak na piknik,
trzy zaimki i wykrzyknik.

II.

Pierwsze i drugie, to dość długa rzeka,
w fale Dunaju na Węgrzech ucieka.
Trzecie zaimek, a znów *drugie trzecie*
Najczęściej spada na niegrzeczne dziecię
z ręki ojcowskiej, jeżeli coś zbroi.
W końcu żołnierski mundur *całość* stroi.

Za trafne rozwiązanie powyższej zagadki i szarady przeznaczamy przez losowanie funt słynnych z dobroci, najlepszych krakowskich herbatników. Przesyłka pocztowa będzie opłaconą. W losowaniu mogą brać udział tylko prenumeratorowie. Rozwiązania należy przesyłać najpóźniej do dnia 20. kwietnia, pod adresem: „Redakcya Czat, Podgórze, ul. Krzemionki 18".

Odpowiedzi redakcyjne.

„Brzozów". Chwileczkę cierpliwości! — na wszystko przyjdzie kolej. Czyż tam u Was wszyscy w gorącej wodzie kąpani? Wszak nie tylko jeden Brzozów ma prawo do naszej... **opieki**! Musimy i do innych Abder gwoli czyszczenia zaglądać.

A więc cierpliwości! — Już w najbliższym numerze rozpoczniemy całą seryę obrazków z brzozowskiego życia.

Na pierwszy ogień pójdzie mafia kahalna. Później... — no ale nie zdradzajmy tajemnicy, — nie psujmy gustu — każdy na czas o sobie przeczyta. Huha!

NADESŁANE.

Wydawca: Maryan Horwath. Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Złoczański. Drukiem W. Poturalskiego Podgórze-Kraków.